

WALERY PRZYBOROWSKI.

CIEŃ.

(Powieść z przed stu lat).

Autor zastrzega sobie prawo przedruków i tłumaczeń.

3

— Tak panno, istniał taki malarz, Tomasz Dolabella, Włoch rodem i jeżeli mię pamięć nie myli, bawił on na dworze własnych królów i o ile wiem umarł nawet w Krakowie.

Radzę ci tedy *ma belle Julie*, ażebyś zaraz po odebraniu tego listu, nie tracąc chwili czasu (jeżeli już nie będzie zapóźno), pobięła zobaczyć imię malarza, umieszczone na odwrotnej stronie portretu, noszącego tajemnicze przezwisko „cienia”. Sądzę, że twój mamut-dziadunio nie kazał jeszcze wyskrobać tego imienia.

Jeżeli odczytasz to imię, będziesz miała wytłumaczoną przyczynę, dla której przebrał się za mnicha Gwidona piękny rycerz, o którym tyle razy tu wspominałam, i dlaczego się tak zachowywał, że aż wstręt w tobie wzbudził; będziesz na koniec miała wyjaśnienie wielu rzeczy, które ci się dotąd wydają ciemnymi. Wszakże na jednym punkcie nie mogę cię uspokoić, a mianowicie, dlaczego mnich Gwido nie starał się z tobą zobaczyć i rozmówić. Chcąc tę tajemnicę wyjaśnić, należałoby wiedzieć, co zaszło po twojem wyjściu z pokoju, między dziaduniem-mamutem, a mnichem Gwidonem. Staraj się *ma chère Julie* koniecznie o tem dowiedzieć, i jeżeli w mój zdrowy zmysł i moją przenikliwość wierzysz, to donieść mi jak najprędzej, a ja może potrafię rozwikłać tę zagadkę. W każdym razie muszę ci tu powiedzieć, że nagły wyjazd twego dziadka-mamuta, nazajutrz po wizycie mnicha Gwidona, do klasztoru na Łysej górze, jest oznaką, że między tymi panami po twojem, zgoda niepotrzebnem wyjściu, zaszła jakaś scena bardzo doniosłego znaczenia. Muszę ci też z powodu tego wyjścia, dać radę, abyś na wszystko, co się koło ciebie dzieje, miała baczną zwróconą uwagę i nie wychodziła z pokoju wtedy, kiedy właśnie powinnaś się w nim znajdować.

Kończąc ten list, nieco przydługi i jak na mnie, która nie lubię pisywania listów, będący istic heroicznym wysiłkiem, dowodzącym, do jakich poświęceń jestem dla ciebie *ma belle Julie* zdolna, muszę pochwalić twój projekt kreślenia dziennika. Jest to bardzo dobry zwyczaj, a wśród tych tajemniczych i romantycznych zdarzeń i okoliczności, jakie się poczynają obecnie w zaklętym twego dziadka-mamuta zamku, nieodbycie koniecznym. Pisz więc, a kiedy uznasz tego potrzebę, ważniejsze ustępy z tego dziennika zechciej mi komunikować, bym moim zdrowym i przenikliwym umysłem rozjaśniała to, co może być dla ciebie ciemnym i niezrozumiałym.

A teraz tysiąc pocałunków w twoje różowe usteczka.

Toute à vous.

Hortence.

IV.

Dziennik Julii.

Zamkowa Wola d. 21 Marca 1809.

Jakkolwiek oddawna czułam potrzebę, co prawda pozornie niczem nieuzasadnioną, zapisywania wszystkiego, co się tutaj w tym zaczarowanym, jak go nazywa Hortensya, zamku dzieje, jednakże wrodzone mi lenistwo i dziwny chaos myśli w mej biednej głowie, dotąd nie pozwolił mi wziąć się do pióra. Dziś dopiero wskutek otrzymania od Hortensyi osobliwszego listu, który wywołał we mnie prawdziwą trwogę, że jakieś tajemnicze moce mię otaczają i w nieznana, a pełną niebezpieczeństw przyszłość mię prowadzą, oraz zachęta, bym wszystko, co widzę notowała, zmusiły mię na koniec do prowadzenia mego dziennika.

Nim jednak rozpocznę zapisywanie z dnia na dzień tego, co mi się wydawać będzie godnem uwagi, zdaje mi się, że konieczną jest rzeczą wspomnieć tutaj szczegółowo o tem, co się stało od owej fatalnej nocy, w której ukazał się w zamku tajemniczy mnich Gwido, pod postacią którego Hortensya mniema widzieć kawalera Dolabellę.

Nadmienić tu muszę, jakkolwiek to niema związku z właściwym przebiegiem wypadków, że pewnego dnia, gdy zwyczajem moim w rozmowie mieszała

wyrazy francuskie, dziadunio bardzo stanowczo, acz łagodnie zgromił mię zato, mówiąc, że dobra Polka, jaką jestem, nie powinna szpecić pięknego języka ojczystego, makaronizmami (tak on to nazwał) francuskimi. Odtąd tak w mowie, jak i piśmie, staram się unikać owych „makaronizmów”, chociaż przy pisaniu tego dziennika nieraz mi słów brakuje i muszę posilkować się słownikiem. Jest to następstwem mego francuskiego wychowania, na które dziadunio bardzo powstaje, ale czyż to moja wina? Dziadunio jest gorącym patriotą, nienawidzi Austriaków i powiada, że w wojnie, na którą się podobno zanoszą, cesarz „potłucze ich na miazgę” (własne wyrażenie dziadunia).

Lecz czas już wrócić do opisu wypadków, mnie dotyczących.

Przedewszystkiem tedy, pomimo usilnych starań i dopytywań, co zaszło owego wieczoru po mojem wyjściu ze stołowego pokoju (za które to wyjście Hortensya surową mi dała reprimandę), między dziaduniem (Hortensya nazywa tego zacnego staruszką mamutem, co mi się bardzo nie podoba i w pierwszym, jaki do niej napiszę, liście, postaram się wskazać jej niewłaściwość takiego niesmacznego wyrażenia), a tajemniczym mnichem Gwidonem, nic nie mogłam się dowiedzieć. Nikt bowiem nie był przy tem, a stary potwór (tak tłumaczę francuskie *monstre*) Kociuba, jest podobno trochę głuchy, a najprędzej spał, co mu się zresztą często przytrafia, bo jak utrzymuje pocziwa klucznica Gruszkowska, Gruszką przezwaną, Kociuba lubi się potajemnie napijać, a wypiwszy kilka kieliszków śpi jak zabity. Owego więc wieczoru z pewnością, tak przypuszczam, niosąc stary miód dereniak do pokoju stołowego, musiał go zakosztować, czego następstwem był sen w przedpokoju, a co zatem idzie, nie słyszał, co się stało między dziaduniem, a mnichem Gwidonem. To tylko umie potwór Kociuba powiedzieć, że dziadunio, czerwony jak rak, według wyrażenia starego pijaka, otworzył z trzaskiem drzwi do przedpokoju i rozkazał zaprowadzić tajemniczego przybysza, do gościnnych pokoiów, które się mieszczą w starej baszcie zamkowej, że Kociuba to uczynił, że mnich nic nie mówił, tylko prosił, aby o świtanu nazajutrz konie były gotowe, bo musi wcześniej wyjechać. Dodać tu trzeba, że Gwido przyjechał do zamku wózkami i końmi klasztornymi z woźnicą, który w stajni przenocował, starannie się otulał opończą i kapturem i z nikim ze służby w rozmowę wdawać się nie chciał. Jakoż o świcie Kociuba udał się do pokoiów mnicha chcąc go obudzić, ale zastał go już gotowym do drogi. Jakie w ogólności wrażenie na Kociubie zrobił Gwido, nie podobna było dowiedzieć się od zakutej, pijackiej głowy potwora, jedynie tylko to umiał powiedzieć, że ten mnich musi być jaką znakomitą osobą, bo wsadził na odjezdnem w niedźwiedzią łapę niedźwiedziawatego marszałka dworu (bo tak się tytułuje ten potwór), całe trzy cwanygiery.

Ważną, jak mi się zdaje, rzeczą byłoby się dowiedzieć, jak długo jeszcze po mojem wyjściu nieroztropnem ze stołowego pokoju, rozmawiał Gwido z dziaduniem. Ale napróżno wypytywałam się tego potwora, napróżno z różnych stron zachodziłam i różnych kombinacji używałam, nic się dowiedzieć nie mogłam i ten punkt moich badań pozostał nierozjaśnioną tajemnicą. Nie ulega wszakże wątpliwości, że jakaś ważna musiała odbyć się rozmowa między dziaduniem i mnichem, i jakieś głębokie podejrzenie musiało powstać w głowie mego opiekuna, co do Gwidona, skoro nazajutrz wczesnym rankiem, jakem pisała Hortensyi, siadł na konia i poczwalał do klasztoru Świętokrzyskiego. Dowiedziawszy się o tem od Zuzi, zaraz sobie pomyślałam, że dziadunio podejrywa, iż pod kapturem mnicha ukrywa się jakaś inna osoba, i że dla przekonania się o tem pojechał do klasztoru. Byłam z tego powodu nadzwyczajnie niespokojna, bo nuż w rzeczy samej był to nie mnich Gwido, ale kawaler Tomasz? a jeżeli w rzeczy samej był mój piękny i szlachetny rycerz, to dlaczego zachowywał się tak nieprzyzwoicie (choć Hortensya pisze, że mu to nakazywała jego rola), a nadewszystko dlaczego nie starał się ze mną zobaczyć i choć kilka słów mi powiedzieć?

Nie, to nie był kawaler. Pierwszy widok jego twarzy zrobił na mnie silne wrażenie, ale potem uważałam, czy mi serce tak bije i tak rwie się do niego, jakto dawniej bywało w Paryżu. Otóż nie, byłam dziwnie spokojna i rada bardzo, że mogłam wymknąć się z pokoju, nie patrzeć na wstrętną scenę pijacką i nie słuchać słów nieprzyzwoitych o pięknej białogłowie. A zresztą gdyby to był kawaler, to przecież nie przyjechałby końmi i wózkami klasztornym, jak zapewniał mię kilkakrotnie Kociuba, sumitując się mocno, że tak było i gadając:

— Przecie znam konie (mówi konie) klasztorne, a jeśli mi jasnie panna pułkownikówna nie wierzy, to zawołam wszystkich furmanów i fernali i niech powiedzą, czy to nie były konie klasztorne. Jenó woźnica to był jakiś nowy i mruk, bo nic nie gadał i nikt go tu nie zna.

Wszakże to uderzające, dziwne, nie wytłumaczone podobieństwo! Boże! jakieś tajemnice mię otaczają! Ja jestem żywym odbiciem jednej z moich prababek, której historia, o ile sądzić można z półsłówki dziadunia, jest pełna romantycznych przygód, w których jakąś rolę gra malarz Włoch — mnich Gwido znowu jest sobowtorem mego pięknego rycerza. Zaprawdę, myśląc o tem, jest z czego stracić głowę, a jeszcze teraz, gdy odebrałam list Hortensyi i w nim wiadomość, że kawaler jest w Polsce. *Oh mon Dieu*, jakże mi bije moje biedne serce!

Ale wszystko to było jeszcze niczem, wobec tego, czego się miałam niebawem dowiedzieć. Ze wstrętem, z bólem, z rozgoryczeniem kreślę te słowa i wołałabym zgola nie pisać o tem, gdyby nie to, że wszystkie szczegóły tego osobliwszego zdarzenia mogą w przyszłości mieć dla mnie doniosłość i znaczenie.

Dziadunio wrócił dość późno popołudniu, na koniu mocno zhasanym. Byłam właśnie w pokoju stołowym, którego okna wychodzą na dziedziniec, na zabudowania gospodarskie leżące u stóp skały, na której zamek się wznosi, i widziałam, jak *mon grand papa*, oddając służbie konia, jednemu ze stajennych coś rozkazał i ten pędem pobiegł ku wsi, nieco opodał rozłożonej.

Gdy przyszedł do pokoju, w którym się znajdowałam, zauważyłam, że był niezwykle wzburzony i gniewny. Siwy wąs mu się najeżył, a czarne oczy ciskały błyskawice, szedł ostro dzwoniąc ostrzami u butów, a szpicrutą nieustannie machał. Skoro zobaczył stół nakryty do obiadu i mnie czekającą na niego, wybuchnął strasznym gniewem. Dla wytłumaczenia muszę tu dodać, że zawsze, polskim obyczajem, jadalśmy między godziną dwunastą a pierwszą, ale tym razem, choć obiad o zwykłej porze był gotów, nie kazałam go podawać, tylko czekać na powrót dziadunia, choć temu sprzeciwiła się pocziwa stara Gruska, ale oprzeć ostatecznie mojej woli się nie śmiała.

— Jakto? — zawołał pan domu wchodząc — asindzka jeszcze obiadu nie jadłaś?

— Cekałam na powrót dziadunia.

— Co? i waćpanna cały dzień nic w ustach nie miałaś? Chcesz tu schudnąć i rozchorować się? milion set... Gruska! gdzie jest Gruska?

Wołał, tupał nogami w najwyższem uniesieniu, a gdy biedna klucznica, dygocząc ze strachu, wtoczyła się do pokoju, wpadł na nią i poczał ją łajac jak najostrzejszymi słowami. Widząc biedaczkę, nie mogącą z przerażenia przyjść do słowa, wtrąciłam się w to, mówiąc, że pocziwa Gruska nic tu nie jest winna, tylko ja, bo kazałam czekać z obiadem na powrót dziadunia. Słowa te uspokoiły nieco rozgniewanego starca i zwracając się do mnie, rzekł:

— Zakazuję asindzce czekać na mnie z obiadem. Gdy kiedykolwiek nie będę w domu o zwykłej porze, proszę i rozkazuję samej jeść i nie czekać. A ty stara (zwrócił się do dygoczącej ciągle Gruszki) pamiętaj, że odpowiesz za niewypełnienie mego polecenia. Ruszaj precz!

Gruska, choć ja, jak powiada „nożyska bolą”, znikła w jednej chwili. Podano obiad, dziadunio milczał, ja także, bo oboje byliśmy skwaszeni i mało jadłam. Przy końcu zjawił się potwór Kociuba z doniesieniem, że jakiś Walczak przyszedł „wedle rozkazu jasnie pana”. Dziadunio kazał mu czekać, a gdy ów niefortunny obiad się skończył, podziękował mi chmurnie za towarzystwo i poszedł do swego gabinetu, kazawszy zawołać tam owego Walczaka. Ponieważ w owym czasie jeszcze nie zwracałam uwagi na wszystkie zdarzenia i okoliczności, więc nie starałam się dowiedzieć, kto jest ów Walczak, ale trochę obrażona na dziadunia za jego krzyki i rozkazy, poszłam do swego pokoju i tam się zamknęłam.

Dopiero wieczorem rozjaśniła się nieco zachmurzona atmosfera w zamku, i dowiedzieć się miałam dziwnych historii. Postaram się jak najszczegółowiej opisać wszystko.

Wieczór ów, ciągle zadana na dziadunia, postanowiłam przepędzić u siebie, ale już koło godziny 7-mej zjawiła się u mnie Zuzia, ze słowami, że „pan prosi panienki” do pokoju stołowego. Poszłam więc, bo trudno było odmówić, ale miałam zamiar tak się zachowywać, żeby krzykała dziadunio poznał, że nie lubię, gdy mnie kto łaje i strofuje. Dziadunio, jak zwykle, siedział przy kominku w swym wielkim fotelu z fajką, która mu zgasała,